

*A
jeśli
jesteśmy
złoczyńcami*

M.L. RIO

*A
jeśli
jesteśmy
złoczyńcami*

tłumaczyła
Katarzyna Malita

must read

Tytuł oryginału
IF WE WERE VILLAINS

Copyright © 2017 by M.L. Rio
All rights reserved.
Copyright © 2017 for the Polish translation by
Katarzyna Malita

All works by Stanisław Barańczak © Anna Barańczak

Tekst na podstawie edycji *Teatr złoczyńców*, Świat Książki 2017

Projek okładki Julia Lloyd
Projekt polskiej wersji okładki i skład
Radosław Stępniak | **SISLY** studio

Elementy graficzne na okładce © Shutterstock

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki – z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych – możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8265-359-5

Must Read jest imprintem wydawnictwa
Media Rodzina Sp. z o.o.
ul. Pasięka 24, 61-657 Poznań
tel. 61 827 08 50
wydawnictwo@mediarodzina.pl

Druk Abedik

Media Rodzina popiera ścisłą ochronę praw autorskich. Prawo autorskie pobudza różnorodność, napędza kreatywność, promuje wolność słowa, przyczynia się do tworzenia żywej kultury. Dziękujemy, że przestrzegasz praw autorskich, nabywasz książki legalnie i nie udostępniasz ich publicznie, np. w Internecie. Dziękujemy za to, że w ten sposób wspierasz autorów i pozwalasz wydawcom nadal publikować ich książki.

*Dla wielu dziwnych i cudownych ludzi sceny,
których mam szczęście nazywać swoimi przyjaciółmi.
(Zapewniam, ta książka nie jest o Was).*



AKT I



P R O L O G

Siedzę z rękami przykutymi do stołu i myślę: *Tajemnic mego więzienia nie mogę / Wyjawić – gdybym mógł, najmniejszy szczegół / Tej opowieści byłby ci torturą.* Strażnik przy drzwiach obserwuje mnie, jakby czekał, że coś się wydarzy.

Wchodzi Joseph Colborne. Posiwał, ma teraz prawie pięćdziesiąt lat. Widuję go raz na kilka tygodni – za każdym razem zaskakuje mnie, jak bardzo zestarzał się od poprzedniego spotkania. Za każdym razem trochę starszy, od dziesięciu lat. Siada naprzeciwko mnie, splata dłonie i mówi:

– Oliver.

– Joe.

– Słyszałem, że przesłuchanie w sprawie warunkowego zwolnienia poszło po twojej myśli. Gratulacje.

– Podziękowałbym, gdybym myślał, że mówisz to szczerze.

– Wiesz, że według mnie nie powinno cię tu być.

– To nie oznacza, że według ciebie jestem niewinny.

– Nie. – Wzdycha i znudzony spogląda na zegarek – ten sam, który nosił już w dniu, gdy się poznaliśmy.

– To po co tu przyszedłeś? – pytam. – Odstawiasz ten sam spektakl co kilka tygodni?

Ściąga brwi w płaską czarną linię.

– Według ciebie, kurwa, widzenie jest spektaklem?

– Człowiek z teatru wyjdzie, ale teatr z człowieka...

Kręci głową jednocześnie rozbawiony i rozdrażniony.

– No i? – pytam.

– Co no i?

– *Szubienica – to dobre! A dlaczego dobre? Bo dobrze robi tym, co źle robią* – odpowiadam, bo chcę zasłużyć na jego rozdrażnienie. – Po to tu przyszedłeś? Powinieneś już wiedzieć, że nic ci nie powiem.

– Tym razem myślę, że zdołam cię nakłonić do zmiany zdania.

Prostuję się na krześle.

– Jak?

– Odchodzę z policji. Złożyłem rezygnację, załatwiłem sobie pracę w prywatnej firmie ochroniarskiej. Muszę myśleć o edukacji dzieci.

Przez chwilę tylko na niego patrzę. Dotąd sądziłem, że Colborne nigdy nie odejdzie z policji, że trzeba go będzie zastrzelić jak wściekłego psa.

– Jakim cudem ma mnie to przekonać? – pytam.

– Wszystko, co powiesz, pozostanie wyłącznie między nami.

– To po co zawracać sobie głowę?

Znów wzdycha i zmarszczki na jego twarzy się pogłębiają.

– Oliver, nie zależy mi na wymierzaniu kary. Ktoś odsiedział wyrok, a w naszej pracy rzadko mamy taką satysfakcję. Ale nie chcę składać broni i marnować następnych dziesięciu lat na roztrząsanie, co się wydarzyło dziesięć lat temu.

Początkowo nic nie mówię. Podoba mi się ten pomysł, ale nie ufam mu. Przebiegam wzrokiem po brzydkich surowych ceglach, małych czarnych kamerach, które śledzą nas z każdego rogu, strażnika z wystającą dolną szczęką. Zamykam oczy, robię głęboki wdech i wyobrażam sobie świeżość wiosny

w Illinois; jak to będzie, gdy wyjdę na zewnątrz po wdychaniu stęchłego więziennego powietrza przez jedną trzecią życia.

Kiedy wypuszczam powietrze, otwieram oczy i widzę, że Colborne uważnie mi się przygląda.

– No nie wiem – mówię. – Tak czy inaczej wychodzę stąd. Nie chcę ryzykować powrotu. Chyba bezpieczniej jest nie kusić licha.

Nerwowo bębni palcami po stole.

– Powiedz mi jedną rzecz – mówi. – Czy kiedykolwiek w celi wpatrywałeś się w sufit, zastanawiając się, jak tu trafiłeś, i nie mogłeś spać, bo dręczyły cię myśli o tamtym dniu?

– Co noc – odpowiadam bez sarkazmu. – Ale na tym właśnie polega różnica, Joe. Dla was był to tylko jeden dzień, a potem robota jak zwykle. Dla nas był to jeden dzień, a potem każdy następny, który po nim przyszedł. – Opieram się na łokciach i nachylam, tak że moja twarz znajduje się kilkanaście centymetrów od jego twarzy, by słyszał każde słowo, gdy zniżam głos. – Ciekawość musi zżerać cię od środka. Nie wiesz kto, nie wiesz jak, nie wiesz dlaczego. Ale ty go przecież nie znałeś.

Twarz Joego przybiera dziwny wyraz, jakby mdliło go na mój widok, jakbym stał się odrażający i trudno było na mnie patrzeć.

– Aż do tej pory dochowałeś tajemnicy – mówi. – Każdego doprowadziłoby to do szaleństwa. Dlaczego to zrobiłeś?

– Bo chciałem.

– Nadal chcesz?

Nagle serce w piersi zaczyna mi ciążyć. Tajemnice mają swój ciężar. Jak ołów.

Opieram się o krzesło. Strażnik patrzy na nas obojętnie, jakbyśmy mówili w obcym języku, a nasza rozmowa nie miała żadnego znaczenia. Myślę o innych. O nas – dawno, dawno

temu. Robiliśmy niegodziwe rzeczy, które były zarazem konieczne – a przynajmniej tak nam się wydawało. Spoglądając wstecz, nie jestem pewny, czy były, i teraz się zastanawiam: czy dałbym radę wytłumaczyć to wszystko Colborne’owi, te wszystkie zawiłości, zwroty akcji i ostateczny *exodos*? Wpatruję się w jego pozbawioną wyrazu twarz, w szare oczy otoczone kurzymi łapkami zmarszczek, lecz czyste i jasne jak zawsze.

– Dobra – mówię. – Opowiem ci historię. Ale musisz zrozumieć parę rzeczy.

Colborne ani drgnie.

– Słucham.

– Po pierwsze, zacznę mówić, kiedy już stąd wyjdę, nie wcześniej. Po drugie, to nie może się obrócić przeciwko mnie ani nikomu innemu – żadnego powtórnego pociągnięcia do odpowiedzialności. I na koniec – to nie są przeprosiny.

Czekam na jakąś reakcję z jego strony, słowo albo kiwnięcie głową, ale on tylko mruga powiekami i milczy, spokojny jak sfinks.

– No i co, Joe? – pytam. – Dasz radę?

Rzuca mi zimny uśmiech.

– Chyba tak.

S C E N A 1

Czas: wrzesień 1997 roku, mój czwarty i ostatni rok w Delecher Classical Conservatory. Miejsce: Broadwater w stanie Illinois, małe miasto prawie bez znaczenia. Jak dotąd jesień była ciepła.